

wodu... Przedewszystkiem mężczyźnie żadnemu nie można ufać...

Józia miała już na końcu języka swawolne zapytanie: „A to ciocia o tem tak dobrze się przekonała?“, ale powstrzymała się w porę.

— ...a ty — ciągnęła dalej stara panna — musisz być więcej ostrożną, niż każda inna panienka, bo twoja opinia jest porządnie nadszarpięta. Czy sądzisz, że wieści o twoich ekstrawagancyach nie dotarły aż tutaj?... Tylko staraniom ojca zawdzięczasz, że wiadomość o twojej romantycznej ucieczce z Zalesinek nie dostała się do gazet...

Cienkie nozdrza Józki zaczęły szybko drgać, oczy jej pociemniały gniewem...

— Ciociu! Niech mi ciocia tak nie dokucza, bo...

— No, bo co? — wykrzyknęła panna Korzewska — Uciekniesz może znowu?! O! Ja wiem, że to u ciebie nietrudno!... Przecież trzynastcie lat dopiero miałaś, kiedyś już odemnie uciekła piechotą w deszcz!... Tylko ciekawam, gdziebyś teraz poszła?... Do domu pani Walczakowej zamknęłaś sobie drogę, ojciec cię nie przyjmie.

— Jestem młoda, zdrowa! Mogę na siebie zapracować!...

— Tylko ciekawam, jak? Czyś ty się czego porządnie nauczyła? Przecież ty nawet tej twojej szkoły nie skończyłaś? Tobie właśnie nauka była w głowie!

Józka spuściła głowę. Na jej twarzy ruchliwej, zmiennej, migotliwej, jak fala morska w słońcu, odmalowała się silna przykrość. Widocznie najmocniej odczuła ten zarzut, który sama uważała za słuszny.

Opuścił ją gniew, złagodniała, usiadła przy stole i spokojnie, cichym głosem rzekła:

— Dopóki byłem głupim dzieckiem, nie rozumiałam. Ale później pragnęłam bardzo nauczyć się czegoś praktycznego... Prosiłam ojca, żeby mi pozwolił zapisać się na kurs sztuki stosowanej... Wiem przecież, że mam w tym kierunku zdolności... Nie pozwolił, nie dał pieniędzy! Chciałam później uczyć się ogrodnictwa... To samo!

— Rację miał, bo i takby nic z tego nie było!... Tybyś w jakiej robocie wytrwała... A zresztą może cię miał puścić w świat samą, bez opieki, z twojem usposobieniem... No, toby dopiero coś dobrego z tego wyszło! Zamaż powinnaś iść, ot, co!...

— Jak przyjdzie czas, to pójdę. Mam dopiero dziewczętność lat.

— Już powinnaś być mężatką!... Miałas przecie sposobność!... Tego profesora z Krakowa nie chciałaś, zaręczyłaś się z innym... No i co? Uciekłaś na dwa tygodnie przed ślubem!

Dziewczyna podniosła nagle ręce do czoła, jakby tam ból jakiś uczuła.

— Ciociu, ciociu... Niech ciocia o tem nie mówi...

— Cóż to, przepisy mi będziesz robiła, o czym mi wolno mówić... Aha! Ja wiem — ty liczysz na tego twojego niby narzeczonego, dla którego się skompromitowałaś... O lic, lic, doczekasz się go!... Dużo on się o ciebie troszczy... Ledwie co jakiś czas list napisać raczy...

Usta Józki skrzywił nagły, przykry skurcz... Zatrzepotały się długie, jedwabiste rzęsy i zabłysło na nich srebro łez.

— Oj, ciociu, ciociu!... — szepnęła dziewczyna żalonym tonem skrzywdzonego dziecka — Proszę... Proszę... Niech ciocia przestanie...

Panna Antonina zmieszana się i zrobiła niewyraźną, stropioną minę. Nie miała ona złego serca i nie zamierzała rozmyślnie dokuczyć siostrzenicy, tylko zgryźliwe zrządzenie tak się z nią zrosło, że nie mogła się powstrzymać, choćby nawet chciała.

— Eh! Bo ty zawsze jesteś w gorącej wodzie kąpana... Wszystko przesadzasz i za dużo do serca bierzesz... Jeżeli cię przestrzegam, to tylko jako starsza, życzliwa ci krewna...

Józka nic nie odpowiedziała. Przechręciła głowę w tył i z jakimś tępem zamyśleniem spoglądała przed siebie. Żółtawe światło lampy padało wprost na jej wiośnianą twarz, która w przeciągu ostatnich kilku miesięcy przybladła, zeszczupiała, spowaźniała.

Nie zaszkodziło to bynajmniej urodzie Maliniewiczówny. Przeciwnie, delikatny, miękko zarysowany owal zyskał na szlachetności linii. Turkusowe, rusałczane oczy, w których teraz rzadziej zapalały się figlarne ogniki i śmiały się swawolne, zalotne chochliki, czarowały spojrzeniem, pełnem tęsknej, melancholijnej zadumy i zdobyły głębi, dawniej im nieznanej.

Cała twarz nabrała przez to więcej interesującego wyrazu i jeszcze silniej akcentował się właściwy Józki typ piękności „drażniącej“.

Panna Antonina, obserwując w tej chwili siostrzenicę, spostrzegła nagle, że dziewczyna jakoś bardzo blado, przejrzyście i smutnie wygląda.

Zauważyła na jej skroni delikatną sieć niebieskich żyłek i skonstatowała, że w pobladłej twarzy tylko usta, kolorytem i kształtem podobne do płatków szkarłatnej róży, płoną gorącą barwą.

— Może ona chora, tylko o tem nie mówi. — pomyślała panna Antonina — a może za mało je... Ja jej przecież nie żałuję, tylko o wszystko teraz tak trudno i takie drogie... A Maliniewicz płaci bardzo mało... To ledwie starczy na utrzymanie dziewczyny...

Coś się tam poruszyło w oschłym, zgorzkniałem sercu starej panny... Może ten czar nieuchwytny a przemożny, jaki wiał od Józki, i na nią podziałał.

Zrobiło się jej żal siostrzenicy i zapragnęła okazać jej troskliwość, naturalnie po swojemu.

— Możebyś ty co zjadła? Pewnie głodna jesteś? Kupiłam dzisiaj na targu bardzo ładne masło, chociaż za bezczelną cenę... Te baby wiejskie zupełnie powarywały... I sera trochę mam... A może wolisz dwa jajka na miękko... Chcesz?

Józka drgnęła, jakby ze snu zbudzona.

— Dziękuję ciociu! — odpowiedziała już bez śladu gniewu i poprzedniego rozdrażnienia w głosie — Mnie wszystko jedno, co zjem. Nie jestem nawet jeszcze głodna. Ale ciocia pewnie chce już jeść kolację. W tej chwili zagotuję herbatę.

— Nie, nie! Siedź ty sobie tutaj!... Już ja sama wszystko przygotowuję. Tybyś jeszcze coś sflukała albo wylała.

Panna Antonina złożyła starannie swoją robotę do przeznaczonego na ten cel koszyczka i wyszła do małej kuchenki. Stałej służącej, przy swoich skromnych materyalnych środkach, trzymać sobie nie mogła.

Józka wzięła do ręki leżący na stoliku „Kurjer“ i zaczęła czytać. Znać było jednak po niej, że w tej chwili, to, co czyta, mało ją interesuje, że jej myśli błądzą gdzieś daleko i bynajmniej nie obracają się koło rewolucji rosyjskiej, ani też wkoło braków aprowizacyjnych.

Te kilka miesięcy, które Józka spędziła u ciotki, były jednym szeregiem starć, kłótni, nieporozumień.

Panna Antonina nie była w gruncie rzeczy zła, ale miała usposobienie zrzędne, dokuczliwe, była zgorzkniała i opryskliwa, lubiła za dużo plotki i ploteczki, a przedewszystkiem zupełnie nie rozumiała Józki. Posiadała przytem bardzo mało taktu i zwykła była poruszać kwestye bóle i drażliwe w sposób jak najmniej stosowny, jak najbardziej niedelikatny.

Józka ze swojej strony drażniła ciotkę uporem, hardemi odpowiedziami, lekceważącymi uśmiechami i budziła w niej oburzenie śmiały, a zawsze niespodzianymi wybrykami. I także nie zadawała sobie trudu, ażeby się winyśleć w charakter ciotki i stworzyć jakieś znośniejsze pożycie.

Wogóle zachowanie się tych dwóch kobiet względem siebie było tego rodzaju, że sobie nawzajem — wbrew zresztą własnym chęciom — zafurowały życie.

Gdyby Józka zastanawiała się kiedy nad przeszłością ciotki, gdyby знаła jej młodość smutną, szarą, bezkwiętą, bezbarwną, byłaby może dla niej łagodniejszą i pobłażliwszą.

Gdyby wiedziała, ile przecierpieć upokorzeń, ile znosić cudzych kaprysów, ile gorczy wchłoniąć w siebie musiała biedna, nieprzygotowana do samodzielnej pracy sierota, pełniąc przy chorowitej, zgryźliwej i despotycznej krewniej obowiązki towarzyszyńki, lektorki, pielęgniarki, a nawet garderobianej.

Gdyby domyśleć się mogła, jak marnie ginęły, mijały jeden za drugim dni młodości panny Antoniny, niepokraszone żadnym powabem życia, nierozjaśnione żadnym promieniem słońca.

Jak gorzkniał i zaostżał się trochę szorstki z natury, ale zacny charakter, w miarę tego, jak więdła twarz, oczy traciły blask, a cała postać stawała się kościstą i ostrokanciastą.

Wielką urodą nie odznaczała się panna Korzewska nigdy, kiedy jednak miała lat dwadzieścia, była sobie dość przystojną, świeżą dziewczyną. Tylko że to trwało tak krótko i tak szybko minęło bezpowrotnie.

Nikt nie wiedział, czy w życiu swoim nie marzyła o miłości. Nigdy o tem nie mówiła, a nikt też nie słyszał, żeby miała jakiego konkurenta, czy wielbiciela.

Gdzieżby się zresztą poznać z kim mogła. Chora krewna nie lubiła obcego towarzystwa, a do mężczyzn, zwłaszcza młodych, czuła poprostu antypatyę.

Kiedy wreszcie chorująca dużo, dużo lat dama umarła, zapisała swojej nieodstępnej towarzysze niewielki kapitalik.

Ala panna Antonina miała już zwichnięte życie. Była wiedzy już zdziwaczałą, rozgoryczoną, gderliwą starą panną — suchą i chudą, o przedwcześnie pożyłkłej cerze, z wypłowiałymi oczyma, z przerzedzonymi, zrudziałymi włosami i zaostrozonymi liniami nosa i brody.

Józka, odkąd sięgnęła pamięcią w przeszłość, pamiętała ją już jako brzydką, starą, niezdolną „ciotkę“, mającą zawsze na podorędziu groźne spojrzenie i ostre słowo.

W rozmowie ze swoją przyjaciółką, Anielką Walczakową, powiedziała pewnego razu o ciotce: „Kiedy tylko coś zbroiłam, to ona wyrastała zawsze jak z pod ziemi, żeby mi dać burę“.

Jakiś czas panna Antonina zajmowała się gospodarstwem Maliniewiczza, ale, że nie mogła jakoś pogodzić się ze swoim ciotecznym bratem i wołała na różne jego postęпки nie patrzeć, więc wyjechała wkrótce i zamieszkała w tem cichem, czystem, małym mieście.

Ilekróć jednak radca Maliniewicz wyjeżdżał na dłuższy czas, panna Antonina bawiła w jego domu dla opieki nad dziewczętami.

Każdy taki pobyt złączony był dla Józki ze wspomnieniem ustawicznych ostrych napomnień, surowych kar i strumieni wylanych łez. Ciotka zupełnie nie umiała postępować z żywą jak iskra, swawolną jak chochlik, ale bardzo wrażliwą i wybitnie uczuciową dziewczynką.

Ostatecznie kończyło się na tem, że Józka robiła swoje, z pod kar się wylaamywała, wszelkie uwagi lekceważyła, a natomiast w młodziutkim jej sercu podsycalo się i potęgowało uczucie niechęci dla ciotki.

Zaś znowu panna Antonina nie mogła zapomnieć i darować Józki figla, jakiego, jedenastoletnia podówczas dziewczynka, dopuściła się za podszeptem koleżanek, a może i służących.

Pewnego razu wypadło pannie Antoninie obchodzić w domu Maliniewiczza swoje imieniny. Młodsza córeczka radcy, Kazia, ubrana w białą sukienkę, gładziutko uczesana, podała ciotce „powinszowanie“, związane różową wstążką i wygłosiła grzecznie, gładko a monotonna swoje wierszowane życzenia.

Natomiast Józka wręczyła solenizantce własnoręczny rysunek, który przedstawiał dość zręcznie naszkicowaną długą, cienką postać kobiecą, wyciągającą pośród drzew ręce do okrągłego, jak jabłko, księżycza.

Jako stosowną ilustrację do tego swojego dzieła, wygłosiła swawolna siostrzenica następujący wierszyk:

„Ach! W noc taką  
Być tylko we dwoje!  
A ja w tej ciszy  
Tak samotna stoję,  
A na mej głowie  
Ten wianek dziewczycy  
Od ilu wiosen?  
Niechaj nikt nie liczy!“

To niezwykle powinszowanie musiała Józka ciężko odpokutować, ale surowa kara, jaka na nią spadła, nie zgładziła wrażenia jej postęпку. Ostry kolec pozostał w sercu panny Antoniny na długo.

Wprawdzie dziewczynka nie rozumiała treści podsunętego jej wierszyka, jak też nie miała pojęcia, ile było okrucieństwa w jej dziecinny żarcie, ciotka jednak od tego czasu powzięła do niej nieprzezwyciężone uprzedzenie i nie nazywała jej inaczej jak „narwaną, postrzeloną waryatką“, albo „hardą, krnąbrną, bez serca dziewczyną“.

Nic też dziwnego, że obecny stosunek Józki do ciotki pozostawał tak dużo do życzenia.

— — — — —  
Panna Antonina zastawiła na stole, przykrytym kolorową serwetą, skromną kolację: chleb, trochę masła, kawałek sera, herbatę i dla Józki dwa jajka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)